

665 Trochę sentymentu trochę szablonu

POKOLENIE, które przeżyło ostatnią wojnę światową, ze szczególным sentymentem wspomina „pierwsze dni wolności” — kiedy to wszystko właściwie tworzyło się z niczego. Tamte czasy miały jakiś zupełnie specyficzny „wymiar” — i rzeczywiście ministra spotkać można było wówczas nie tyle w tramwaju (bo te nie wszędzie jeszcze chodziły), co np. w jakiejś uspołecznionej gar-kuchni. Chętnie więc sięgamy wspomnieniami do owego pierwszego powojennego (czy nawet jeszcze wojennego) roku, wertujemy ówczesne listy, zapiski, przeglądamy połówki już fotografie. Rzecz wręcz pasjonująca jest przeglądanie gazet z tamtych dni — gazeta bowiem, jak wiadomo, jest (a przynajmniej powinna być) zwierciadłem życia...

Podobnej fascynacji uległa także znana spółka autorska: Stefania Grodzieńska i Jerzy Juran-dot, czego efektem jest „Ballada o tamtych dniach” — sztuka sceniczna, której akcja rozgrywa się w Lublinie w okresie od września 1944 roku do stycznia roku następnego. Rzecz ta, którą by można nazwać komedią patetyczną, przeplatana ba-ladami z muzyką Jerzego Wasowskiego, zawiera wiele elementów biograficznych (Stefania Grodzieńska była m. in. spikerką radio-wą w wyzwolonym Lubli-nie) autorów, okraszona zaś jest autentycznymi do-niesieniami radiowo - pra-sowymi z tamtych czasów.

Te właśnie autentyki spel-niają rolę rodzynek w cieście, które — mimo iż nagro-dzone przez ministra obrony narodowej — uznalibyśmy za nieco zakalcowate. Otóż wydaje mi się, iż „Ballada o tamtych dniach”, której premiera odbyła się przed pięcioma la-ty w Łodzi, ma wiele cech sztuki pisanej na zamówienie, w dodatku przez „rutyniarzy humoru”. Fabuła jest więc naiwna i schematyczna, prze-tykana często „humorem na siłę” (jak np. owo mylenie mleka z samogonem, wprowa-dzanie do dialogów języka ni-hy-rosyjskiego i temu podob-ne zabiegi, które trudno uznać za szczyty sztuki komi-

cznej). Najciekawsze są tu właśnie przeplatane akcje autentyczne komunikaty, wno-szące ładunek pewnego dra-matyzmu i nadające opowieści charakter autentyzmu. Dos Passos w podobnej nieco kon-wencji napisał swą znakomitą trylogię „USA” — tyle, że tam jest to dobór niezwykle precy-zyjny, trafny i konsekwent-ny, w „Balladzie” natomiast sprawia wrażenie nieco pos-piesznego montażu.

kazałoby się, że pod wzglę-dem realizacyjnym można temu przedstawieniu wiele zarzucić. Zastrzeżenia bu-dzi strona wokalna (nie są jednak aktorzy Teatru Dra-matycznego zespołem roz-spiewanym), sceny grupowe („Klub warszawiaków” pod lubelskim głośnikiem radiowym) wypadły dość



Fot. T. Link

Nie mam specjalnego za-ufania do rutynowanych spółek autorskich; często budzi się we mnie podejrzenie, że produkują one teksty zbyt łatwo, że brak im tremy i przejęcia auto-rów „nie sprawdzonych” (w przypadku Jerzego Juran-dota podobne wrażenie od-niosłem z jego „Prawa pierwszej nocy”, wystawia-nego niedawno przez Teatr Muzyczny w Gdyni).

Z premierą „Ballady” (w reżyserii Kazimierza Ła-stawieckiego i ze scenogra-fią Elżbiety Chojak) wystą-pił we czwartek Teatr Dra-matyczny w Gdyni. Wido-wnia przyjęła spektakl do-brze, co zawdzięczać nale-ży chyba w głównej mie-rze owemu sentymentowi, który wielu siedzących na sali ogarnął, przywołując ich własne wspomnienia. Ale gdyby na rzecz spoj-rzeć ze szczyptą soli... o-

biado, a i niektóre role in-dywidualne zostały niepo-trzebnie przerysowane. Da-nuta Borowska zagrała np. matkę Zygmunta zgodnie z najgorszym już, najbar-dziej prymitywnym szablo-nem, będącym może jesz-cze do przyjęcia w zespó-lach amatorskich... Zbigniew Gawroński wydał mi się dość przekonywającym typowym „oratorem na szczeblu”, podobał mi się także Kazimierz Błaszczyński jako ksiądz Goldman (jest to zresztą postać, któ-ra udała się autorom — po-dobnie jak np. przejmują-ca w swojej prostocie „Sa-ga rodu Kowalskich”), po-nadto Stefan Izylowski ja-ko Zygmunt. Najlepsze jed-nak w spektaklu były zde-cydowanie dwie „spiker-ki”: Krystyna (Wiesława Kosmalka) i Helenka (Ewa Jabłońska). Na zdjęciu — jedna z nich (Krystyna) podczas wspólnego obiadu z ministrem.

LAIK